# TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........ $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.
PRENUMERATE PRZYJMUJE SIĘ JE ..IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

No. 14. Chicago, Ill., Czwartek, 7-go Kwietnia, 1898. Rok XII.

# Ksiaze Srebrny.

## POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

## HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— Szkoda — mówił dalej Basmanow — że dzisiaj nie zdążymy do mojej łaźni, będzie to ztąd przeszło trzydzieści wiorst; tam są moje majątki, za to jutro książę będziesz łaskaw do mnie, lepiej cię uczęstuję niż dzisiaj. Zobaczysz też moich pieśniarzy i pieśniarki: dziewki dobrane jedna w drugą jak piece, a i parobcy niegorsi: najstarszemu nawet dwudziestki nie będzie. — Basmanow szeplenił naumyślnie, gdy mówił.

— Dziękuję ci bojarze — odpowiedział Srebrny — spieszy mi się do Słobody.

— Do Słobody? Przecieć z więzienia uciekłeś!

— Nie uciekłem, Fedorze Aleksieiczu, jeno mnie przemocą uprowadzili. Dawszy słowo carowi, jamubym nie uciekł, i teraz znów oddaję mu się w ręce.

— Widać gwałtem chce ci się na szubienicę! ha, wolna wola! Ja bo tam nie wiem sam, czy mam powrócić do cara.

— No? dla czegoż to?

— A no cóż — rzekł Basmanow z wyrzutami, być może dla tego tylko, żeby wzbudzić w Srebrnym współczucie. — Służysz carowi jaknajwierniej, oddanym mu jesteś i duszą i ciałem, a on, tylko patrzeć, aż ci posadzi jakiego Godunowa na głowę.

— Przecież ty, zdaje się, masz łaski u cara.

— Co za łaski! do tej pory i okolniczym nie chce mnie mianować! A już kto,

ale ja jestem jego chłopem! Nie bój się, Godunow nie po mojemu służy! ten się strzeże, aby bojarzy źle o nim nie mówili. Hej, Borys, idź do zaścianka, wybadaj bojarzyna.

— Idę, carze, ale żeby on mnie czasami w pole nie wywiódł, bom ja nie taki sprytny, to każ, aby i Grygoryj Łukjanowicz szedł ze mną. — Hej, Borysie, przy tym stole bojarzyn mało pije, zanieś mu wina, rozumiesz?

- Rozumiem, carze, ale on ma na mnie podejrzenie, lepiejbyś Fedkę Basmanowa posłał! A Fedka się nie wymawia, dokąd poślą, tam idzie. Niechno tylko car mrugnie okiem i brata rodzonegobym otruł, nie pytając za co. Pamiętasz, jakem ci przyniósł podczas uczty puhar od Iwana Wasiliewicza? dalibóg myślałem że był z trucizną.

Srebrny się uśmiechnął.

— A czyż znajdzie sługę piękniejszego odemnie? — mówił dalej Basmanow, jakoby podsycony do większego bezwstydu. — Widziałeś kiedy takie brwi jak moje? czyste sobole! A włosy! dotknijno książę, pomacaj, przecieć to jedwab, czysty jedwab!

Twarz Srebrnego wyrażała pogardę. Ale Basmanow to zauważył, i mówił dalej, niby drażniąc gościa:

— A ręce! widzisz, książę? zupełnie jak u panienki. Tylkom je dzisiaj zanadto zmachał. Taka już moja natura: nic się nie oszczędzam

— Prawda, że się nie oszczędzasz — rzekł Srebrny, nie mogąc już wstrzymać swego oburzenia — jeżeli wierzyć wszystkiemu, co mówią o tobie.

— A cóż to mówią o mnie? — podchwycił Basmanow i chytrze zmrużył oczko.

— Toć dość byłoby i tego, co sam opowiadasz, a tu dodają jeszcze, że przed carem, zlituj się Boże, w spódnicy jak dziewka, skaczesz

Rumieniec wytrysnął na twarz Basmanowa, lecz wnet ustąpił przed zwykłym bezwstydem.

— No to i cóż! — rzekł z pewną siebie miną — choćbym i rzeczywiście tańczył!

— Tedy żegnaj — powiedział Srebrny — nietylko brzydzę się twoim obiadem, ale i tobą.

— Aha! — krzyknął Basmanow, i oczy mu zabłysły i szeplenić zapomniał — wła ja o tem wiem, że wy wszyscy przeciwko mnie jesteście, ale, uważasz, ja sobie z was kpię!

Srebrny zmarszczył brwi i ręką sięgnął do szabli, wnet jednak przypomniał sobie z kim ma do czynienia, i wzruszył tylko ramionami.

— To ty się za szablę imasz! — rzekł Basmanow. — Tem mnie bratku nie przestraszysz, niechno sam schwycę szablę, zobaczymy czyja będzie górą!

— Żegnaj — odpowiedział Srebrny i podniósł zasłonę namiotu by wyjść.

Basmanow schwycił go za połę kaftana i krzyknął:

— Słuchaj, gdyby kto inny tak spojrzał na mnie, Bóg świadkiem, nie darowałbym mu, ale z tobą kłócić się nie chcę, dobrze Tatarów kropisz!

Srebrny wstrzymał się u wyjścia; i on przypomniał sobie jak Basmanow wywijał szablą przed chwilą i rzekł otwarcie:

— Toć i ty nie gorzej trzepałeś ich odemnie! cóżeś znów teraz zaczął pindrzyć się, niby baba.

Basmanow uspokoił się.

— No no, nie gniewaj się, kniaziu, nie zawszeć przecie byłem takim, a w Słobodzie, sam wiesz, człek się mimowoli wyuczy.

— Grzech, Fedorze Aleksieiczu! Jak siedzisz na koniu z szablą w ręku, to aż serce się raduje, gdy patrzę na ciebie. I odwagi dziś wykazałeś niemało. Porzućże raz swój babi zwyczaj, ostrzyż włosy, jak Bóg przykazał, idź na pokutę do Kijowa lub do Sołowek, i wróć do Moskwy jak chrześcianin.

— No, no, nie złość się, Nikito Romanowiczu! Siadaj tutaj, zjemy obiad razem; nie jestem psem jakim, przecieć są i gorsi odemnie; nie wszystko to prawda, co o mnie mówią; wszystkiemu nie wierz! I ja sam nieraz w gniewie głupstwo na siebie nagadam.

Srebrny był kontent, że Basmanow spuścił z tonu.

— Więc to nie prawda — spytał — żeś w spódnicy tańczył?

— Eh! wlazła też ci w głowę ta spódnica! czyż dla swej przyjemności w nią się

ubieram? Albo to ty nie znasz cara? wreszcie i cóż, mam być świętym, albo co! W Słobodzie i tak poszczę aż zanadto, ani jednej jutrzni nie zaśpię, a co środę i piątek po sto razy łbem w ziemię walę, nie wiem nawet, jakem sobie go jeszcze nie rozwalił! Jakbyś i ty musiał po całych tygodniach w habicie łazić, to na zmianę teżbyś wdział spódnicę.

Prędzejbym głowę oddał pod topór — rzekł Srebrny.

— Ej-że! — odparł z uśmiechem Basmanow i rzucił gniewne spojrzenie na księcia, którego ten nie dostrzegł.

— A ty myślisz, Nikito Romanowiczu — mówił dalej spokojnie — że mi wesoło, jeśli z łaski cara już nie nazywają mnie Fedorem, lecz Fedorą! I żebym miał z tego jaką korzyść, to co innego, ale mam tylko wstyd! Np. temi dniami jadę koło Drahomilewskiej Słobody, a chłopi palcami mnie wytykają i jeden nawet krzyknął: "Patrzcie, carska Fedora jedzie!" Ja tu jak się za nimi nie puszczę! ale się rozsypali. Przychodzę do cara i mówię mu o tem. A kto cię tak przezwał? — pyta Iwan Wasiliewicz. — Ba, żebym wiedział, sambym się z nim rozprawił, nie przychodziłbym ci dokuczać. No — mówi — weź sobie czterdzieści soboli na kaftan. — A po cóż mi kaftan? nie bój się, na Godunowa soboli nie włożysz, a czemżeż ja mam być gorszym od niego? — Więc cóż Fedia chcesz? — A mianuj mnie okolniczym, żeby ludzie się w oczy nie śmiali. — Nie — mówi — okolniczym nie będziesz; ty jesteś po to byś mnie rozweselał, a Godunow — by radził. Dla ciebie — pieniądze, a dla niego sława i cześć. A za to, że cię chłopi Fedorą nazwali, każę całą Słobodę odpisać na swój carski dwór — Otóż i pocieszyciel! Ha, no, cóż robić! poprosiłem żeby mnie puścił do swego majątku, ale i tam się sprzykrzyło; nie będę przecie całe życie na zające i cietrzewie polował! Ucieszyłem się też okrutnie, jak nadeszła wieść o Tatarach. Aleśmy też dobrze ich wymłócili, dalibóg dobrze! Dosyć jeńców przyprowadzimy do Moskwy. Ale jeńcy! prawda! czy strzelasz z łuku, książę?

— Po co?

— Ot tak. Po obiedzie przywiążemy o sto kroków Tatarzyna: kto pierwszy trafi w serce? Nie w serce — pudło. Zdechnie — przywiążemy drugiego.

Zachmurzyła się otwarta twarz Srebrnego.

— Nie — rzekł — ja do związanych nie strzelam.

— No, to każemy mu uciekać. Kto pierwszy w biegu trafi?

— I tego nie uczynię, i tobie nie dam. Tu, chwalić Boga nie Aleksandrowska Słoboda.

— Nie dasz! — krzyknął Basmanow, i oczy znów mu gniewnie zabłysły, ale, widać nie miał zamiaru sprzeczać się z księciem, bo zmienił nagle ton i zaczął mówić wesoło:

— Eh, książę! Albożnie widzisz, że ja żartuję? i o spódnicy powierzyłeś! z pół godziny sobie kpię, a ty to wszystko za prawdę przyjmujesz! Mnie może jeszcze gorzej niż tobie obrzydły zwyczaje Słobody. Alboż myślisz, że trzymam za Griaznym, Wiarjewskim albo Malutą? Jak mi Bóg miły, oni są dla mnie solą w oku! Ale wiesz co, kniaziu? — ciągnął dalej z ukrytą chytrością — pierwej od ciebie wrócę do Słobody, i uproszę cara, żeby ci przebaczył, a gdy powrócisz znów do dawnych łask, wtedy i ty mi się odwdzięczysz: tylko pisnąć carowi, naprzód o Wiaziemskim, potem o Malucie, a później o innych, to zobaczysz, że tylko my dwaj będziemy mieli u niego znaczenie. A i ja już wiem, co o którym powiedzieć, ale lepiej, żeby on to tak od kogo innego usłyszał. Ja cię nauczę, co i jak mówić, za to mi podziękujesz.

Dziwnie jakoś zrobiło się Srebrnemu wobec Basmanowa. Męztwo tego człowieka i prawie wypowiedziany żal za swe bezwstydne życie, przyciągnęły ku niemu Nikitę Romanowicza. Książę był nawet gotów pomyśleć, że Basmanow przed chwilą żartował, ale ostatnia próba, którą, widocznie nie żartem wyraził, wywołała znów w Srebrnym dawną pogardę.

— No — spytał Basmanow, patrząc mu prosto w oczy — po połowie, czy jak, carskie łaski? Dla czegoż milczysz, książę, czy mi nie wierzysz?

Srebrny starał się stłumić swe oburze-

nie i być grzecznym dla gospodarza.

— Fedorze Aleksiciczu — rzekł — przecież to, co myślisz, to, jakby ci powiedzieć... to przecieć...

— Co? co? — pytał znowu Basmanow.

— To podła rzecz! — rzekł Srebrny cichym głosem, myśląc, że przez to zmiękczy swoje określenie.

Basmanow przezwyciężył złość i udając zdziwienie, odparł:

— Podła rzecz! he he! aleś ty widać zapomniał o kim ja mówię! Czyż, u djabła, trzymasz za Wiaziemskim albo za Malutą?

— Niech grom boży spadnie na nich i całe opricznictwo. Niech tylko car pozwoli mi mówić, to im w oczy powiem wszystko, co myślę, i co wiem, a donosić nie będę mu na nikogo, a tem bardziej twoich słów, Fedorze Aleksieiczu.

Jadowitem spojrzeniem przeszył Basmanow księcia.

— To nie chcesz, żebym się z tobą dzielił carską łaską?

— Nie — odpowiedział Srebrny.

Basmanow spuścił głowę do kolan, chwycił ją oburącz, i jął się kiwać z boku na bok i wyrzekać na wpół ze śmiechem, na wpół z płaczem.

— Oj biedna ja sierota! biedna, nieszczęśliwa! Od chwili, jak mnie przestał kochać car, każdy tylko przemyśliwa, jakby mnie znieważyć! Nikt dobrego słowa nie powie, wszyscy na mnie plwają! Oj życie moje, życie gorzkie! Sprzykrzy los mi się, sobacze życie! Zarzucę pasek za belkę, główkę nieszczęsną wetknę w pętelkę.

Srebrny ze zdziwieniem patrzał na Basmanowa, a on precz wyrzekał i lamentował, jak baby na pogrzebie; czasami tylko rzucał z podełba harde spojrzenie na księcia, jakby chciał ujrzeć jakie wrażenie wywierają na nim one spazmy.

— Tfu! — splunął w końcu Srebrny i chciał wyjść, lecz Basmanow schwycił go za połę.

— Hej! pieśniarz! — zakrzyknął.

Weszło kilku ludzi; widać, oczekiwali naumyślnie za namiotem, bo zagrodzili drogę Srebrnemu.

— Bracia — rzekł Basmanow płaczliwie — zanućcie piosnkę, tylko najsmętniejszą, zanućcie taką, żeby dusza moja zatęskniła, naderwała się i rozłączyła z ciałem.

— Pieśniarze zanucili długą, smutną pieśń, w rodzaju pogrzebowych, a Basmanow wciąż kiwał się to w tę to w ową stronę, i swym płaczliwym tonem dogadywał: lepiej bracia, wyciągajcie, więcej, smutniej! Śpiewajcie za swego bojarzyna! Ot tak! dobrze, bracia! Ale co u djabła! dusza nie chce wyjść z ciała! czyż jeszcze nie nastała jej godzina! czyż mam jeszcze błądzić po świecie? Ha trudna rada! kiedy się tyrać to tyrać!

— Skocznego! skocznego! — krzyknął nagle Basmanow, a pieśniarze przyzwyczajeni do takich wybryków, buknęli od ucha do ucha wesołą pieśń.

— Prędzej! głośniej! — krzyczał Basmanow, i schwyciwszy dwie srebrne łyżki wazowe, zaczął walić jednę o drugą. — Prędzej, sokoły! prędzej rozbójnicy! ja was, djable dzieci!

Cały Basmanow wnet się przeinaczył: nic kobiecego nie pozostało więcej w jego twarzy. Srebrny poznał tego samego zucha, który rano rzucał się na same miecze i rozpędzał tłumy tatarskie.

— Tak to lepiej — rzekł książę, na znak zadowolenia kiwnąwszy głową.

Basmanow wesoło spojrzał nań.

— Przecieć żeś ty znów mi uwierzył, książę! Pewnieś myślał, żem się naprawdę zalamentował! Eh, Nikito Romanowiczu, łatwo też ciebie oszukać! No wypijmyż teraz za naszą znajomość! Jak pożyjemy razem, to się przekonasz, żem nie taki, jak mnie malują!

Wściekła wesołość Basmanowa podziałała na Srebrnego; przyjął kubek z jego rąk.

— Kto ciebie może wiedzieć, Fedorze Aleksieiczu. Ja tam jeszcze nigdym takich nie widział, być może, iż w rzeczywistości jesteś lepszym, niż się wydajesz. Nie wiem nawet, co myśleć o tobie, ale Bóg sprowadził nas tutaj, na polu, z Tatarami, a więc twoje zdrowie!

Przy tych słowach osuszył kubek do dna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# CZARNA PLAMA.

## POWIEŚĆ Z CZASÓW NIEMIECKIEJ GRYNDERKI.

ROZDZIAŁ I.

Ciężkie aksamitne kotary zasłaniają drzwi i okna, miękkie kobierce okrywają całą posadzkę komnaty średniej wielkości, ze sufitu zwiesza się pająk kosztowny, którego trzy zapalone ramiona jasno oświetlają ogrzany i wonnemi zapachami napełniony pokój — prawdziwy obraz bogactwa i wygodnego życia to mieszkanie bankiera Bogomiła Kirstnera, jednego z najwięcej poważanych kupców miasta.

Na ciemno aksamitnej kanapie siedzi dama w sukni z ciężkiego jedwabiu. Jestto małżonka kupca, z domu baronówna Markward, która szlachectwo swe mężowi złożyła w ofierze, gdy rękę mu oddała.

Upłynęły już dwadzieścia i cztery lata od onego czasu. Ojciec Bogumiła, skromny człowiek, niezmordowaną pracą wielkiego dorobił się majątku, i niechętnie też zezwolił na zaślubienie syna z dumną arystokratką, która nie mając majątku, była nauczycielką w domu sąsiada, a chcąc wyjść za bogatego mieszczanina, wobec ojca Bogumiła udawała skromne i potulne dziewczę. Doświadczony starzec poznał komedyą, ale ustąpić musiał stałości obałamuconego syna —, teraz już dawno spoczywał w grobie. Syn jeszcze za życia ojca rozprzestrzenił czynności firmy i rzucił się na wielkie przedsiębiorstwa, na które stary ojciec z widocznem patrzał nieukontentowaniem; obrót roczny wynosił miliony; podczas gdy dawniej wzrost majątku wolnym, ale pewnym postępował krokiem, teraz wszystko miało iść pędem pary i elektryczności, banki i giełda od razu najobfitsze otwierały źródła i bogactwa. Dom Kirstnera nie ustępował co do świetności domom książęcym, a ze skromnej ongi nauczycielki zrobiła się dumna i pyszna dama, której imieniny dziś hucznym balem miały być obchodzone.

Kilka tylko jeszcze godzin brakło do rozpoczęcia uroczystości; w salach i pokojach bawialnych krzątano się rączo, służba bez wytchnienia biegała tu i tam, aby wszystko jak najlepiej przysposobić — wielmożna pani nie wtrącała się do tego, bo na to miała gospodynią, której już z rana odpowiednie wydać raczyła rozkazy.

Pani Kirstner byłaby kobietą nie szpetną, gdyby na obliczu jej i w oczach niebieskich nie malowała się ta duma zimna jak głaz, bez serca, bez uczucia, która stanowiła główny rys jej charakteru. Ten sam wyraz odbijał się w twarzy młodego oficera, który obok niej rozpierał się na fotelu, puszczając dym importowanego cygara; tylko że obok tej dumy malowała się na obliczu jego bezmyślna obojętność i ślady zmęczenia wskutek używania i hulaszczego życia.

Blade oblicze pani domu było nieco zarumienione.

— Powiadam ci, Edwardzie, — podjęła rozpoczętą rozmowę, a głos jej zdradzał wewnętrzne wzburzenie, — powiadam ci, że ojciec stanowczo oświadczył, iż po raz trzeci długów twych płacić nie będzie. Wiesz, ile walczyć musiałam, aby ostatni raz nakłonić go do tego. Biedny chłopcze, dokąd cię lekkomyślność twoja zaprowadziła'

Syn bankiera flegmatycznie wzdrygnął ramionami.

— Ojciec musi zapłacić, jeżeli nie chce doczekać się tego wstydu, że syna jego z hańbą wykluczą z grona oficerów, — rzekł obojętnie; — na co on jest bankierem, jeżeli długów mych nie chce zapłacić? Haniebne to jego sknerstwo! — naturalnie od swych piszczyków z kitajkowemi rękawami, aby sobie przy pisaniu surdutów nie wytarli, nauczyć się nie może, jakie są potrzeby oficera. Dla czego mię lepiej zaraz za młodu nie wsadził do swego zakopconego kantoru?

— To też było życzeniem ojca, ale wiesz przecież, że wszystko uczyniłam, aby tylko jemu się oprzeć. W tobie płynie krew szla-

checka, Edwardzie; twoi przodkowie zaszczytnie są zapisani w dziejach wojen krzyżowych, a potomka Markwardów widzieć kupcem — tegobym nie przeżyła. —

— A więc rób co możesz, aby szlachetnego potomka baronów Markwardów wydobyć z brudnych rąk potomków Abrahama i Izraela, — przerwał jej młody oficer. — Jeżeli nie masz gotówki, zastaw lub sprzedaj wszystkie kosztowności.

Pani Kirstner westchnęła.

— Mój kochany Edwardzie, ja sama w przykrem jestem położeniu. Ojciec twój od pewnego czasu bardzo stał się dziwacznym! Żąda odemnie, abym wystała tem, co mi daje, narzeka na straty, na złe czasy, – ale nie trzeba na to zważać, to tak zwykle kupcy gadają. Jednakże wczoraj jeszcze odmówił mi sumy, którą koniecznie zapłacić musiałam jubilerowi. Nie pozostało mi nic więcej, jak ślubne me brylanty zastawić przez pannę służącą twej siostry Marty. To dziewczę wtajemniczone jest w podobne interesa i umie milczeć.

Oficer zaklął gniewnie.

— Niech tylko Marta o tem się nie dowie, — rzekł, — ona ma te same małomiejskie zasady, co stary, i natychmiastby swą służącą oddaliła, gdyby się o czemś podobnem dowiedziała. Mam nadzieję, że skoro tylko zostanie żoną hrabiego Hallenburga, zmieni swe zapatrywania. On każdej chwili nadejść musi. Ponieważ jeszcze nie był u nas, chce ci jeszcze przed balem złożyć uszanowanie; dopiero dziś w południe z dóbr swoich tu przybył. Skoro tylko się pokaże, skończmy się też niezawodnie to romantyczne przywiązanie Marty do nauczyciela muzyki Gerharda, którego ojciec też więcej proteguje, aniżeli potrzeba.

— A to zgroza, że my tego plebejusza na bale nasze zapraszać musimy, ale cóż robić? Ja w tej mierze robię z siebie ofiarę dla Kirstnera, a on ją za to drogo musi opłacać.

W tej chwili otworzyły się boczne drzwi i wszedł do pokoju Bogumił Kirstner w towarzystwie córki, której smukłą kibić ojciec trzymał w objęciu.

Jak matka i syn, tak córka i ojciec uderzająco do siebie byli podobni. Marta miała takie same ciemne oczy, to samo łagodne spojrzenie, ten sam szlachetny wyraz twarzy, któy cechował ojca, tylko że jej oblicze otoczone było bujnemi puklami ciemnych włosów, podczas gdy ojca włos szron starości przypruszył.

Czy Bogumił Kirstner, ów bogaty i powszechnie szanowany bankier, był szczęśliwym? W tej chwili był szczęśliwym, gdy rozpromienionem obliczem patrzał na ukochaną swą córkę: teraz pochylona jego postać się wyprostowała, a głębokie zmarszczki, które, jak poznać było można od razu, nie sam wiek wyrył w jego obliczu, znikły na chwilę.

Teraz jednakże twarz jego się zachmurzyła. Ujrzał syna, który nie podnosząc się wcale z miejsca, konfidencyonalnie tylko skinął głową; młody oficer nie był widocznie u ojca we wielkich łaskach. Natomiast Marta powitała matkę i brata z niekłamaną szczerością.

— Musiałam ojca gwałtem oderwać od książek rachunkowych, — rzekła z uśmiechem: — nie mogłam tego przenieść na sobie, aby ojciec dla nas mozolił się i pracował, podczas gdy my do wesołej sposobimy się zabawy.

Oficer szyderczo wykrzywił usta i mruknął coś o przesadzonej czułości.

— Dobrze, żeście przyszli, odezwała się pani domu. — Edward chce przed balem jeszcze przedstawić nam jednego ze swych przyjaciół, który dziś dopiero przybył ze swych dóbr, aby dłuższy czas w mieście zabawić. Marto, spodziewam się, że będziesz dokładać wszelkich starań, aby się jemu spodobać; — hrabina Hallenburg, jak to brzmi, Marto?

— Jak oderwany ton z całości harmonii, — odrzekło dziewczę. — Tylko gdy akord zabrzmi w całości, trafia do serca i duszy — ja nie znam wcale przyjaciela Edwarda, hrabiego Hallenburga.

— Ale tem lepiej tego łagodnego i romantycznego nauczyciela muzyki Gerharda, od którego szanowna siostrzyczka uczy się tych muzykalnych porównań. Pani muzykusowa Gerhard, jak to pięknie brzmieć będzie, jakto ludzie na sto mil w koło będą jej zazdrościć!

Marta zarumieniła się i błagająco spojrzała na ojca; i tego oblicze żywy oblał rumieniec.

— Emil Herhard, syn mego dawniejszego zacnego buhaltera, jest zacny człowiek, zasługujący na wszelki szacunek, — rzekł poważnie i surowo, — i raz na zawsze zakazuję ci, Edwardzie, abyś się nie ważył, krzywdzić go słowem lub uczynkiem. Zresztą uważam za bardzo niestosowne, że wprowadzasz przyjaciela swego do naszego domu tuż przed balem. Ale dziś nie chcę bezwzględnie mojej przeprowadzać woli. Kochana Lauro, — zwrócił się do małżonki, — ty dziś jesteś królową dnia i tobie ten oto hołd mój składam.

To mówiąc, podał żonie piękne puzdereczko, które obojętnie otworzyła; zawierało ono naszyjnik prześlicznej roboty.

— Bardzo piękne, — rzekła pani Kirstner; — spodziewam się, że zausznice, które do tego garnituru należą, nie są zbyt długie, coby to było niestosownie.

Wyraz boleści zadrgnął na obliczu bankiera, a w oczach łza zabłysła.

— Zausznice? — zapytał; — moja droga, przyznam ci się otwarcie, że dzisiejszy bal grube mię sumy kosztuje; poniosłem ogromne straty, które jak najprędzej trzeba powetować; naturalnie, — dodał pospiesznie, — na gwiazdkę będziesz mieć i zausznice, Lauro kochana, a może i prędzej, ręczę ci za to: i Marcie już dawno przyobiecałem medalionik.

— O nie mów o tem, ojcze kochany, jeżeli mię nie chcesz zmartwić; ja myślę, że trudniejsze masz stanowisko, aniżeli nam chcesz wyznać.

— A ja się spodziewam, że dom Kirstnera stać będzie na tej samej wyżynie, na której stał dotychczas, — zauważyła pani domu. — Przypomnij sobie, że to uroczyście przyobiecać musiałeś, gdy baronówna Laura Markward mieszczaninowi kupcowi oddawała rękę. Ale nie zakłócajmy dnia dzisiejszego nieporozumieniami; przyjmę z wdzięcznością naszyjnik i bez zausznic, jeżeli, kochany Bogumile, inne me spełnisz życzenie; czy przyrzekasz?

— Twoje życzenia, kochana Lauro, są zwykle bardzo kosztowne, — rzekł z uśmiechem, — i trudno bezwarunkowo przyobiecywać — ale powiedz, w czem twe życzenia mam spełnić?

Pani Kirstner odchrząknęła.

— Dotyczy to naszego syna, — rzekła po chwili. — Wiesz, że oficer we wielkim mieście wiele potrzebuje pieniędzy, a syn nasz nie może być gorszym od innych kolegów — —

Bankier podskoczył z krzesła.

— Ani słowa więcej, Lauro! — zawołał tonem niemal rozkazującym. — wiem ja, do czego zamierzasz — dwa razy już zapłaciłem długi mego syna, grubo przypłaciłem jego hulaszcze życie; prócz pensyi swej pobiera on odemnie tyle kieszonkowego, iżby cała rodzina przyzwoicie się z tego utrzymać mogła, chociaż wiem, że mię za plecami skną i skąpcem nazywa. Widzi Bóg, jak kocham dzieci moje, ale teraz już nic dla Edwarda uczynić nie mogę — w żaden sposób nie mogę.

Było w słowach ojca coś, co Martę przeraziło. Przybiegła do niego, chcąc go ułagodzić, ale Kirstner ją odsunął i mówił dalej.

— Czyż to ja chciałem tego, aby jedyny mój syn nie był następcą ojca i dziada w rzetelnym naszym kupieckim interesie? Czyż nie folgowałem w tej mierze zanadto twym życzeniom i prośbom? Dla kogo pracuję, dla kogo się mozolę? Kto dzieli me troski, kto mię wspiera i pociesza w tych okropnych chwilach które. — —

Przestraszony przerwał mowę. Widział, że Marta przy tych słowach zbladła, jak trup, podczas gdy żona nie zważając prawie na to, co mówił, obojętnie igrała z łańcuszkiem zegarka, a Edward małemi nożyczkami ze stolika matki w niecierpliwości żgał i krajał aksamit fotelu, na którym siedział.

— Wybacz mi, dziecię moje, — rzekł bankier, miarkując się, do Marty; — ja łatwo się unoszę. Niech to cię nie martwi, co powiedziałem. Znam cię, wiem jak mię kochasz, ale. —

— Pan hrabia Hallenburg! zawołał służący w bogatej liberyi, otwierając szeroko środkowe drzwi.

Jakoby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, zmieniło się odrazu oblicze pani

domu i jej syna. Edward podskoczył i idąc naprzeciwko przyjacielowi zawołał:

— Witam cię, hrabio, witam serdecznie. Opowiadałem już mej rodzinie o tobie i o tych szczęśliwych chwilach, które tobie zawdzięczam.

— A które sowicie w tej chwili mi wynagradzasz, kochany Edwardzie, gdy samotnemu kawalerowi otworzyłeś dom ten zacny. w którym wolno mi być świadkiem niezamąconego szczęścia rodzinnego.

Mówiąc te słowa skłonił się wszystkim nisko.

Hrabia liczył lat około trzydziestu: w każdem jego słowie, w każdym ruchu przebijał się arystokrata; ubrany był w elegancki ubiór balowy. Edward zaprezentował go rodzinie i z zadowoleniem spostrzegł, że oczy hrabiego z upodobaniem długo spoczywały na siostrze.

— Poznasz w hrabim tancerza pierwszego rzędu, siostro, — rzekł do Marty. — Unosiły się nad nim damy w Karlsbadzie i Homburgu, na balach dworskich pierwszą on odgrywa rolę. Przyrzekłem już w twojem imieniu pierwszego kontredansa i spodziewam się, że nie zawiedziesz mej rekomendacyi.

— W rzeczy samej, łaskawa pani, — przywtórzył Hallenburg, — byłbym bardzo szczęśliwym. — —

Marta z wyrzutem spojrzała na brata.

— Przepraszam mocno, — rzekła z ukłonem. — Edward zapomniał, że wczoraj jeszcze przypadkowo mu powiadałam, iż do pierwszego kontredansa już jestem angażowaną.

— I ja przypominam sobie, — zawołał młody oficer wśród śmiechu, — młody nauczyciel muzyki, zgłodniały golec, protegowany przez ojca i siostrę! No, pretensye jego odkupimy za luidora, pasztet i butelkę szampana, a biedak będzie bardzo szczęśliwym.

Hrabia spojrzał na Martę i zasępił się.

— Kochany Edwardzie, — rzekł z lekkim wyrzutem, — nie bądź niemiłosiernym dla nieszczęśliwych, bo i ty jesteś człowiekiem — tak powiedział już Euripides. Jeżeli pani tego młodego człowieka przyjęłaś jako swego tancerza, to dowodzi, że na ten zaszczyt zupełnie zasługuje, a ja zadowolnię się nadzieją, że przy innym tańcu pani mnie nie odrzucisz.

Marta skłoniła się w milczeniu.

Z wielkim taktem przeszedł hrabia natychmiast na inny temat. Podróżował on wiele i zwiedzał cudze kraje, dla tego umiał rozmowę swą nadzwyczaj urozmaicić i dodać jej uroku. Ale nagle opowiadanie swoje o Rzymie przerwał patrząc na zegarek.

— Lecz ja tu rozmawiam, — rzekł, — a zapominam, że panie się niecierpliwią, bo przysposobić się muszą do balu; przepraszam, ale tak błogich chwil, jak obecna, mało jest w życiu!

Podniósł się, ale oficer go wstrzymał.

— Zostań hrabio, jesteś już przecież w balowem ubraniu. Pójdziemy do mego pokoju i tam przy cygarze pogawędzimy aż do rozpoczęcia balu.

Hallenburg przystał na to i pożegnawszy rodzinę, wyszedł z oficerem. Poważnie pożegnał go ojciec z córką, podczas gdy matka wysiliła się na największą uprzejmość, na jaką zdobyć się mogła.

Ale skoro się drzwi zamknęły, zmienił się wyraz ich twarzy.

— Głupia jesteś! rzekła w uniesieniu matka do córki. — Tego muzykusa Gerharda przy pierwszej sposobności za drzwi wyproszę; dzisiejszy bal jest ostatni, na który za mojem zezwoleniem odebrał zaproszenie. A teraz idź i ubierz się, a proszę cię abyś mi się nie sadziła na jakąś skromność!

To mówiąc, wyszła z pokoju.

Ze łzami w oczach przytuliła się Marta do ojca, który ją uściskał.

Moje dziecko najdroższe, — rzekł bankier cichym głosem, — czy podobna, aby córka moja kochała syna dawniejszego mego buchaltera? Cyt! Nie żądam odpowiedzi, — dodał pospiesznie, — teraz nie pora po temu, ale cię błagam i zaklinam; jeżeli miłość ku niemu zaszczepiła się w twem sercu, wyrzuć ją, z zarodkiem! Mąż, któremu oddasz rękę, musi być bogatym, bardzo bogatym — Marto, słyszysz? — koniecznie musi być bogatym! Ty, dziecko moje, sama jedna mię rozumiesz. Nigdy, przenigdy — zmuszałbym cię do zamęścia wbrew twojej

woli, ale Emila Gorharda musisz koniecznie wybić sobie z głowy, inaczej nietylko by klątwa matki spoczywała na waszym związku, ale i — ojca zrobiłabyś nieszczęśliwym, odbierając mu ostatni sposób ratunku!

Złożył pocałunek na jej czole i wyszedł z pokoju. Miał on swoje apartamenta w domu na drugiem piętrze. Już się zabierał, aby pójść do góry, jednakże namyślił się i skręcił w ciasny ganek, który dzielił mieszkanie od biór i kantoru. Wszedł do swego bióra. Głębiej zaryły się teraz zmarszczki na twarzy, a postać jego pochyliła się mocniej. Pospiesznie otworzył kilka listów i depesz, które w czasie jego nieobecności nadeszły i przejrzał je — nie było w nich nic ważnego. Uchwycił za pas od dzwonka i zadzwonił dwa razy. Po kilku minutach pojawił się Lichtman, stary buchalter. Biały jak śnieg włos pokrywał głowę tego starca, który od wielu lat wiernym był urzędnikiem bankiera.

— Nadeszły wiadomości z Amsterdamu? — zapytał bankier.

Buchalter potrząsł głową.

— Niech nas Pan Bóg broni i zachowa panie Kirstner, — rzekł ponuro. — Przeczuwają wszyscy, jak się skończy z firmą Van Straten i Sp., a że to nie jest tajemnicą, iż nas z nią wspólnicy łączy interes, więc już sobie szepcą. — —

Bankier zerwał się z krzesła.

— Co szepcą? Nie będą sobie szeptać. Firma Kirstnera nie zachwieje się nigdy, jak dotychczas się nie zachwiała. Przeszła ona już większe kryzy. — —

— Które jej też wielkie zadały ciosy i mocno ją osłabiły, — dodał buchalter. — Mój Boże, któżby to myślał, że ta sławna amsterdamska firma bliską jest bankructwa! Ale tak długo, jak nie nadeszła urzędowa wiadomość, nie trzeba tracić nadziei.

— A skoro nadejdzie, runie też firma nasza, — rzekł bankier ponuro. — Przyrzeczenia, które dałem umierającemu ojcu, abym unikał wszelkiej ryzykownej spekulacyi, i zachował honor domu, nie dotrzymałem. Dzieci moje, które dotychczas spokojne pędziły życie, wypchnięte być mają nielitościwą losu ręką na ubóstwo i nędzę, na pośmiewisko szyderczego świata!

Z głębokim jękiem padł na krzesło.

— Nie trzeba tracić nadziei, panie Kirstner, pocieszał go Lichtman. — Nie zapominaj pan, że jutro ciągnienie austryackich walorów; sto kilkadziesiąt tysięcy guldenów mogą firmę naszą uratować.

— To słaba nadzieja! — westchnął bankier. — O Marto, dziecię moje, z winy ojca grozi ci nędza!

Zakrył twarz rękami, aby ukryć łzy. W biórze zapanowało grobowe milczenie. Na pierwszem piętrze tymczasem, w sali przyozdobionej kwiatami, wieńcami i olbrzymiemi zwierciadłami, w których odbijał się przepych i bogactwo, zapalali lokaje świece na pająkach i kandelabrach, a muzykanci stroili instrumenta.

## ROZDZIAŁ II.

Pokoje Edwarda urządzone były z wszelkiemi wygodami i zbytkiem; komnaty, w których młody oficer przyjmował swych przyjaciół, musiały odpowiadać bogactwu domu rodzicielskiego.

Edward i gość jego siedzieli przy sobie na kanapie. Zapach wonnego hawańskiego cygara zapełnił pokój, którego zbytkowne urządzenie hrabia Hallenburg rozpromienionem podziwiał okiem.

Hrabia tu nie był ani ceremonialnym, ani tak ugrzecznionym, jakim się pokazał w gronie rodzinnem: poufale rozpierał się na kanapie, był niewyczerpanym w dowcipach i w końcu niecznacznie naprowadził rozmowę na Martę, której piękność i urodę wynosił z niezwykłym zapałem.

Edward śmiał się.

— Zanadto schlebiasz i przesadzasz, hrabio! — zauważył. — Uważałem, że siostra bardzo głupio się zachowała. Ma ona romantycznego w głowie bzika, którego jej trzeba wybić podstępem lub gwałtem, wszystko zarówno, bo na tem już stanęło, że będziesz, hrabio, moim szwagrem, a ja na twoich dobrach wolne mieć będę polowanie.

— Ten cel osięgnąć, byłoby największem szczęściem mego życia, — rzekł hrabia z przesadzonym zapałem; — ale oba-

wiam się, aby panna Marta mię nie odrzuciła, skoro ktoś inny jej serce. — —

— Tego Gerharda trzeba koniecznie usunąć, — przerwał oficer gorączkowo; — już ułożyłem znakomitą intrygę, przy której mi ładniuchna służąca siostry za luidora i inne grzeczności przyrzekła być pomocną. Pan muzykus bardzo jest uczuciowy i ma pewien punkt honoru, na tem cały zbudowałem plan. Bądź przekonanym, że ideał siostry nie długo ci będzie zawadzać. No, ale niezadługo trzeba nam będzie zejść na dół, — ciągnął dalej, patrząc na zegarek. — Zdaniem mojem bardzo będzie dobrze, że wypijemy kieliszek francuzkiej wódeczki na rozgrzanie i lepszy humor przy zabawie.

Zadzwonił, a niebawem wszedł Ludwik, służący oficera, do pokoju. Był to wysoki drągal z rudemi włosami i bardzo przebiegłym wyrazem twarzy, a był bratem tego dziewczęcia, która była panną służącą Marty.

Ludwik znał i umiał wyzyskiwać słabości swego pana i wielkie miał u niego znaczenie. Przyniósł on butelkę benedyktynki, i gdy obaj, wypiwszy po kieliszku, zeszli na dół, pozostał on w pokoju, aby go uprzątnąć. Przeszkodziła mu w tem zatrudnieniu siostra jego Zosia, która właśnie nadeszła, gdy on talara, którego znalazł w kieszeni kamizelki pana swego, sobie przywłaszczał i do własnej kładł kieszeni. Przestraszony odwrócił się.

— Bądź spokojny, Ludwiku, — rzekła dziewczyna ze śmiechem, — nikt cię nie widzi! Wszyscy już są na dole na sali. Tu masz liścik. Frycek Born mi go oddał, gdy mię dziś spotkał na targu.

Ręka chłopaka drżała widocznie, gdy otwierał list zabrudzony.

— Zosiu, — cichym rzekł głosem. — Zosiu, jutrzejszej nocy się stanie, — wieczorem po balu państwo rychlej udadzą się na spoczynek; ja już znajdę sposobność otworzenia drzwi od podwórza. Zosiu, jutro będziemy mieć tysiąc talarów w gotówce za tę małą przysługę.

— Ach Ludwiku, Ludwiku! Onawiam się bardzo, — szepnęła dziewczyna: — skraść pannie pierścień lub kolczyki, albo porucznikowi pieniędzy, to nic, to mała rzecz, ale zakraść się do domu, rozbić zamki i szafy żelazne, to. — —

— Nie możemy się cofnąć, Zosiu, my też żyć musimy, a zresztą panu Kirstnerowi pozostanie jeszcze aż nadto. A więc pozostanie przy tem: jutro w nocy! A teraz pójdźmy; nam się też dziś nie jeden dobry kęs dostanie.

* * *

W salach rzęsiście oświetlonych gości pełno. Brylanty lśnią i połyskują a blask ich odbijają olbrzymie zwierciadła; na posadzce szeleszczą długie ogony ciężkich jedwabnych sukien, a w takt harmonijnych melodyi muzyki, kołysała się młodzież w tańcu. Pani domu otoczona była licznem gronem mężczyzn, którzy się przesadzali w hołdach i pochlebstwach. W dalszych pokojach grali starsi panowie w karty. I bankier siedział przy stoliku, przed nim leżała znaczna suma; mechanicznie brał i rozdawał karty. Duch jego był daleko, daleko od tej hucznej zabawy. Wiadomości z Amsterdamu — życie i śmierć od nich zawisły, a tu nie trzeba się było potykać na drodze uśmiechniętej grzeczności, nie wolno było uciec od gwaru hałaśliwego do samotnej izdebki! tańczono jakoby szydząc z męczarni jego duszy, śmiano się i żartowano w obec jego febrycznej trwogi, jak dziatwa, która się bawi na murawie cmentarza, a nie przeczuwa, że tam opodal pod świeżą mogiłą kona i pasuje się w rozpaczy ze śmiercią, żywcem zakopany w letargu.

Ale ktoś inny jeszcze, chociaż żar młodości wre w jego sercu, patrzy poważny i zamyślony na to świetne zebranie. Jestto młodzieniec, liczący około dwadzieścia i trzy lata, średniego wzrostu, z czarnemi oczami i myślącą twarzą o delikatnych rysach. Ubrany był skromnie, ale podług wszelkich wymagań reguł towarzyskich. Marta, która w ciężkiej jedwabnej białej sukni i z fiołkami we włosach, wyglądała czarująco, chociaż dziwnie była bladą, tańczyła z hrabią Hallenburgiem. Oko młodzieńca starało się spotkać się z jej okiem, ale Marta bladła coraz więcej i wzrok wlepiła w tancerza, jak gdyby mocno była zajętą temi czczemi komplementami, które jej prawił.

Młodzieniec, który stał w zagłębieniu okna, zadrżał.

— Cóż się stało? — szepnął sobie. — Marta mię unika; zdaje się, że całą swą uwagę poświęciła owemu nieznajomemu — hrabia Hallenburg — powiadają, że bardzo bogaty — naturalnie, to ponętne. Ale nie, nie, — przerwał sam sobie, — znam Martę, znam jej stałość — to. —

Zamyślenie jego przerwał młody porucznik.

— A, panie Gerhard! — rzekł z szyderczą grzecznością, — podziwiasz pan mego przyjaciela, hrabiego Hallenburga? Wszakże prawda, elegancki młodzieniec?

— Powierzchownie tak, panie poruczniku, o ile się znam na ludziach, — odrzekł Emil spokojnie.

— Siostra jest nim oczarowana, — ciągnął porucznik poufale dalej, — marzy o nim od czasu, gdy w Homburgu pierwszego z nim tańczyła kadryla; patrz pan, jakie rozpromienione jej oblicze.

— Przeciwnie, uważam, że panna Kirstner bardzo jest blada, — odparł młodzieniec sucho

— Bo pan ją zanadto męczysz lekcyami muzyki, panie Gerhard, — zauważył porucznik złośliwie. — Marta będzie musiała się wzmocnić, aby lepsze miała wejrzenie, gdy się odbędą zaręczyny z hrabią, bo to już rzeczą postanowioną.

To mówiąc odwrócił się od Emila, który pozostał oniemiały i bezprzytomny prawie.

Wtem wyrwały go z zadumy dźwięki kontredansa, którego tańczyć miał z Martą. Przezwyciężył swe uczucia, swą boleść wewnętrzną i udał się do miejsca, w którem siedziała Marta, wypoczywająca po ostatnim tańcu. Przeciskać się musiał przez grono starszych i młodszych mężczyzn, którzy otaczali córkę bogatego bankiera, a gdy dotarł do miejsca, ujrzał za jej fotelem hrabiego Hallenburga i widział, jak ona uśmiechała się z jego dowcipów. — Marta zbladła jeszcze więcej, jak przedtem, gdy powstała i podała mu drżącą rękę, aby taniec rozpocząć. Hrabia Hallenburg i pewna młoda arystokratka stanęli naprzeciwko. Wśród odgłosów wesołej muzyki szepnęła Marta Emilowi:

— Muszę z panem pomówić, panie Emilu, pierwszy i ostatni raz bez świadków!

Rozchwiały się słodkie marzenia na zawsze.

— Nie tłómacz się pani, wiem wszystko i na wszystko jestem przygotowany.

— Pan nic nie wiesz, nie możesz nic wiedzieć, — jutro przyjdziesz pan na lekcyą, a Zosia wręczy panu bilecik. — —

W tej chwili zbliżyła się para przeciwna, a taniec przerwał dalszą rozmowę. —

Przez salę szedł służący z małym liścikiem w ręku; szukał kogoś na sali, a nie znalazłszy go, wszedł do dalszych pokoi, gdzie bankier siedział przy kartach. Przystąpił z uszanowaniem do bankiera, który pytająco, z największym niepokojem spojrzał na niego.

— Przepraszam Wielmożnego Pana! Pan Lichtman, który jeszcze jest w kantorze, przysyła ten liścik.

Bankier rozśmiał się.

— Poczciwa dusza — zauważył, — dniem i nocą pracuje dla dobra naszej firmy, i chociaż w zupełności posiada moje zaufanie, to jednakowoż waha się, gdy najmniejsza rzecz nadzwyczajna się zdarzy. Cóż tam takiego będzie? Bagatela!

Otworzył list z uśmiechem, ale z śmiertelną trwogą w sercu; czuł dobrze, że zimny pot mu występuje na czoło i że ręce mu drżą jak we febrze.

— Urzędowa wiadomość z Amsterdamu, — czytał sam dla siebie. Po piśmie poznał, że ręka starego buchaltera drżała. — Van Straten i Sp. oświadczyli się: 3% albo bankructwo -- niech nas Pan Bóg zachowa!

Zaprawdę w wątłem ciele bankiera mocny był duch, bo ani jednem poruszeniem nie zdradził, co się w sercu jego działo gdy papier po przeczytaniu z udaną obojętnością chował do kieszeni.

— Powiedz Lichtmanowi, że dobrze; niech robi jak się mu podoba, byleby nie nad 60 tysięcy — — przepraszam panów za tę przerwę, którą ten drobny interes wywołał.

— Piękny mi drobny interes! zaśmiał się siedzący naprzeciwko stary radzca rejencyjny. — No, spodziewam się, że ten drobny interes dobrze się powiedzie. Panowie,

wypijmy na pomyślność firmy pana Kirstnera niech kwitnie i niech będzie silną, jak szef jej; niech na granitowej mocno stoi podstawie, aby się o nią rozbiły wszelkie możliwe burze!

Cóż się stało, że naraz rozruch powstał na sali? Dla czego nagle ustała muzyka, a goście ze sali cisnęli się do pokojów? Każdy się pyta — wszyscy zdziwieni — zatrwożeni.

Pan domu nagle zachorował. Chcąc podziękować za wzniesione zdrowie, wstał i podniósł kieliszek gdy nagle ręka mu opadła, począł bełkotać niezrozumiałe wyrazy, zimny pot wystąpił mu na czoło, i upadł bezprzytomny, zemdlały na krzesło. Zbyt wielkie było naprężenie ducha, który uległ, jak struna zbytecznie naprężona się zrywa.

W pół godziny później wypróżniła się sala. Pomimo to, że wezwany na prędce lekarz oświadczył, że stan chorego nie jest niebezpieczny i nie budzi żadnej obawy, przerwano dalszą zabawę, a goście się rozeszli. Marta zapłakana siedziała przy łożu ojca; pani Kirstner zaś siedziała w swych pokojach pieniąc się z gniewu, że bal w tak nieprzyjemny sposób został przerwany; Edward nie pytał o chorego ojca, ale zatrzymał przyjaciół i rówienników u siebie, i tam wesoło zajadali wystawną kolacyą, która podaną być miała wśród balu, i zapijali drogie wina aż do rana.

## ROZDZIAŁ III.

W skromnym schludnym pokoiku małego domku na przedmieściu siedzi starzec w wygodnem, skórą wybitem krześle. Jestto dawniejszy buchalter bogatego bankiera Kirstnera, Tomasz Gerhard, który dla słabego zdrowia porzucić musiał swe stanowisko. Pobierał on małą rentę, z której jednakże nie byłby się mógł utrzymać, gdyby nie miał syna, jedynej pociechy, który jako biegły i bardzo wykształcony muzyk liczne dawał lekcye i z nich utrzymywał starego ojca, z którym wspólne dzielił mieszkanie. Żona Gerharda dawno już nie żyła.

Było to po południu. Emil wyszedł był z omu, aby się do codziennego udać zatrudnienia, a ojciec sam pozostał w domu. Starzec siedział zamyślony, gazeta wypadła mu z ręki; rozmaite myśli zajmowały starca, bo raz czoło jego się zasępiało, to znowu wypogadzało i uśmiech zaigrał na usta h

Wtem służąca uchyliła drzwi.

Panie Gerhard, jakiś pan z panem chce mówić.

— Niech wnijdzie, — rzekł podnosząc się z trudnością, i idąc naprzeciwko gościowi, zawołał:

— A, stary mój Holmie! Jak się miewasz kochanku? A to gość rzadki!

Przybyły, starzec w tym samym mniej więcej wieku, jak dawniejszy buchalter pana Kirstnera, miał na sobie wytarty nieco mundur majora. Jako pozasłużbowy major nie lubił innego ubrania, jak swój mundur. Gerhard posadził gościa na kanapie, a sam usiadł przy nim na krześle.

— A teraz, stary przyjacielu, — rzekł, — powiedz mi, jakiej szczęśliwej okoliczności zawdzięczam twoje odwiedziny?

Major się zaambarasował.

— Mam prośbę, — rzekł po krótkiem wahaniu się, — wielką prośbę do ciebie. Widzi Bóg, że wiele mię ten krok kosztuje. Gerhardzie! Ty masz zacnego syna. — —

Powiedz: niezrównanego syna, pełnego miłości, szacunku i poświęcenia dla swego starego, ułomnego ojca, a nie przesadzisz, — przerwał mu Gerhard. — Jedynem mojem pragnieniem jest i o tem marzę dniem i nocą, abym mu świetną zgotować mógł przyszłość.

— A miłowałbyś ty go mniej, — zapytał major, — gdyby uwiedziony przez lekkomyślność towarzyszów, upojony winem, uczynił coś, czegoby potem żałował, ale czego w żaden sposób jużby cofnąć nie mógł? Z pewnością nie! I ja, Gerhardzie, jak ci wiadomo, mam syna, który jest porucznikiem gwardyi; dostał się on wczoraj niebacznie w lekkomyślne towarzystwo, namówiono go do gry, grał i zgrał się, a słowem honoru zobowiązał się oddać swój dług w przeciągu dwudziestu i czterech godzin. Termin ten upływa dziś wieczorem — jeżeli nie zapłaci, stracił oficerskie słowo honoru, które

dał publicznie a wiesz, jakie to skutki za sobą pociąga. Wiem, że nie jesteś bogaty, ale za to nie masz familii, jak ja; pożycz mi sto talarów, które mi jeszcze braknął, resztę już mam zebraną. Że się do ciebie mam zaufanie. Na przyszły kwartał oddam ci wszystko co do grosza.

Stary Gerhard siedział zamyślony, gdy major skończywszy, patrzał zaniepokojony na niego.

— Słuchaj, przyjacielu, — rzekł po chwili. — Wiesz, że nic nie posiadam, tylko małą rentę, z której mam liche utrzymanie. Mimo to oszczędzałem, czyli raczej skąpiłem i odmawiałem sobie niejednego, aby tylko tyle zaoszczędzić, że bez wiedzy syna mogłem sobie zakupić kilka walorów państwowych, na które, jeżeli mi szczęście sprzyjać będzie, wielkie będę mógł wygrać sumy. Nie dla siebie pragnę majątku, ale Emila mego chciałbym widzieć szczęśliwym i niezależnym; to jest mojem jedynem życzeniem, a najszczęśliwsze chwile mego życia są te, w których marzę o jego świetnej przyszłości. Nie mogę ci więc zaraz dać w gotówce żądanych stu talarów, ale natychmiast pójdę do pana Kirstnera dawniejszego mego szefa. Zastawię u niego jeden z moich trzech austryackich walorów państwowych, a na to mi chętnie sto talarów pożyczy; bądź więc spokojny; przed wieczorem jeszcze będzie mógł syn twój wierzycieli swoich zaspokoić.

W oku majora zabłysła łza, a ręce mu drżały, gdy ściskał dłoń przyjaciela.

— Niech ci Pan Bóg zapłaci, drogi przyjacielu, ja nie będę mógł się tobie odwdzięczyć! A teraz żegnam cię; muszę pospieszyć, aby pocieszyć żonę, która płacze i wyrzeka. Zamknij się dobrze w domu, stary chłopcze, jeżeli nie chcesz, aby ci ona z podziękowaniem przyszła na kark, i z samej wdzięczności nad twojemi uszami rozpuściła organy.

* *
*

W kantorze i biórach banku Kirstnera osobliwe było poruszenie. Wszystko wprawdzie szło dawniejszym trybem, machina interesu bankowego poruszała się zwykłym porządkiem, tylko tu i ówdzie poczęło się coś zahaczać. Przy pulpitach szeptali sobie młodzi urzędnicy i rozmaite robili uwagi; posłańcy z pośpiechem biegali tu i tam. Stary Lichtman od kilku godzin znajdował się w biórze szefa. Że zbankrutowana firma w Amsterdamie ścisłe i znaczne miała stosunki z firmą Kirstnera, o tem wiedział każdy, i smutne przeczucia opanowały każdego z urzędników.

W biórze szefa, które podwójnemi drzwiami oddzielone było od innych biór, pracowali bankier i stary buchalter. Książki i papiery rozłożone były na stołach, ale tylko Lichtman je przeglądał; bankier sam zmęczony i blady jak trup siedział we fotelu.

— Idź pan, panie Lichtman, — rzekł słabym głosem, — i poproś pan żonę moją, aby w ważnym interesie do mnie się pofatygowała a potem, potem spróbój pan naszych urzędników przygotować — ja nie mam siły do tego — przygotować na ewentualność. — Mój Boże, mój Boże! Że do tego dojść musiało!

Stary buchalter z współczuciem położył mu rękę na ramieniu.

— Nie rozpaczaj pan, kochany panie Kirstner, nie rozpaczaj pan! Pan Bóg nie opuszcza nikogo. Każdej chwili nadejść musi depesza z wykazem wylosowanych walorów. Masz pan przecież znaczną ich liczbę, może pomiędzy niemi będzie numer szczęśliwy. W biórze więc nic nie powiem, no, ale panią pryncypałową możesz pan cokolwiek przysposobić — na wszelki przypadek.

Wyszedł z bióra z pośpiechem, aby ukryć swe wzruszenie.

Z zamkniętemi oczami leżał bankier nieruchomy w krześle. Zbudził go szelest ciężkiej jedwabnej sukni. Pani Kirstner, zdziwiona niezwykłem żądaniem męża, objawionem jej przez niezwykłego posła, przeciwko swemu zwyczajowi pospieszyła się, żądaniu temu uczynić zadosyć.

Miała ona w ostatnich czasach smutne przeczucia, wywołane niepokojem i zamyśleniem męża, ale teraz na jego widok nabrała zupełnej pewności, i odgadła, co się stało. Zbladła i zapominając zupełnie o swej godności, której tak ostentacyjnie, zawsze broniła, przypadła do nieszczęśliwego męża i konwulsyjnie chwytając go za ramię, zawołała:

— Bogumile — nieszczęście! Biada ci, jeżeli lekkomyślnie naraziłeś byt swej rodziny!

Bankier jęknął i twarz ukrył w dłoniach.

— I to jeszcze, — westchnął złamany zupełnie, — mój Boże, i to jeszcze! Nielitościwie wyrzuty z tych ust, które tylko pociechę i współczucie mieć dla mnie powinny!

Po chwili jednakże zerwał się, a twarz jego przybrała wyraz poważny i surowy.

— Lauro, słuchaj mię? - silnym rzekł głosem: "Byłaś biedną i zależałaś od łaski dumnych krewnych; wbrew woli ojca, który cię nazwał zimną i bez serca, wziąłem cię za małżonkę, i mnie to zawdzięczas, żeś była bogatą i szanowaną. Ustąpiła skromność z domu, skoro tylko ojciec zamknął oczy. Jedyne miałem pragnienie, aby syn mój był moim następcą, nie ziściło się dla twych przesądów. Dla ciebie to poniosłem tę ofiarę i zezwoliłem na to, aby wnuk starego Kirstnera obrał stan wojskowy; Lauro, teraz nadeszła chwila, w której powinnaś mi wszystko to wynagrodzić, com dla ciebie uczynił. Jestem zrujnowany, Lauro. Nie lekkomyślna spekulacya, ale zdradzenie najszczerszego zaufania spowodowały mój upadek. Mogę się jeszcze utrzymać dzień, najdłużej dwa dni. Przysposób się, abyś jutro rychło z rana z Martą miasto opuściła; niech przynajmniej biedne dziecię moje nie dowie się o tem nieszczęściu, aż, aż — je gazety rozgłoszą."

W milczeniu słuchała pani Kirstner męża. Rumieniła się i bladła naprzemian, a drganie konwulsyjne jej ust zdradzało poruszenie wewnętrzne.

— Nieszczęsny, a na syna nie pamiętasz, który wystawiony na szyderstwo szlacheckich swych towarzyszy, przeklinać cię będzie? Nie pomnisz na to, co to jest, zejść z wysokości, na której tak długo się stało? Bankrutujesz w tej chwili, gdy Marcie uśmiecha się przyszłość i zostać ma hrabiną Hallenburg! Słuchaj mię, Bogumile; dałeś mi majątek, ja dla ciebie ofiarowałam moje szlachectwo, więc się skwitowaliśmy. Umierającemu ojcu twemu i mnie samej złożyłeś ślub uroczysty, że będziesz utrzymywać honor i znaczenie domu naszego: teraz dotrzymaj obietnicy. Jak tego dokażesz twoja rzecz, nie moja. Nie ze względu na mnie, ani na Edwarda — wszakże my w twoich oczach nic nie znaczymy — masz chwytać się ostateczności, aby ratować honor domu; ze względu na Martę, na córkę twoją, zbierz wszystkie twe siły: wszakże ona najulubieńszem twem dzieckiem, zdrowie jej wątłe, a cios nagły zapędziłby ją do grobu.

— Lauro, tyś okrutna, nielitościwa!

— Oszukaj świat, wydawaj weksle, zastawiaj co możesz, poświęć i honor własny, aby tylko honor domu uratować. Niech ci nic nie będzie świętem, skoro chodzi o nasz byt, o honor domu naszego! Zostawiam cię teraz samego. Mam się dziś wieczorem udać do teatru, więc pójdę przysposobić sobie garderobę. Pamiętaj na córkę, Bogumile, pamiętaj na Martę!

Nie oglądając się wcale, wyszła z szelestem z bióra, podczas gdy z drugiej strony drugie drzwi się po cichu otworzyły i stary Lichtman stanął w progu.

— Panie Kirstner, dawniejszy mój kolego Gerhard chce z panem koniecznie pomówić. Powiedziałem mu, żeś pan bardzo zatrudniony, ale on nie chce ustąpić.

— Niech wnijdzie, — rzekł bankier z rezygnacyą. — Człowiek, który naszemu domowi tak długo wiernie służył, ma prawo każdego czasu być wysłuchanym.

Po kilku chwilach wszedł starzec do bióra dawniejszego swego szefa.

— I cóż pana do mnie sprowadza, kochany panie Gerhardzie!

— Przychodzę z wielką prośbą, panie Kirstner. Stary mój przyjaciel jest we wielkim ambarasie; nie mogę mu służyć gotówką, ale mam tu austryacki papier państwowy. Chciałbyś mi pan za ten papier jako zastaw, pożyczyć sto talarów na trzy miesiące? Nie byłbym przyszedł do pana, panie Kirstner, gdyby tu nie chodziło o sprawę honorową.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI,

# CUD

CZYLI

## KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

**Jonek.**

A kajześ był dotąd kochany
Miechodmuchu! Do chaptes wnedeckiś się zjawił,
A kiej się bić tsa było, Wasmość się niestawił.

**Miechodmuch.**

Prawda, że się za górę pod krzaki szchowałem,
Ale za to z daleka komenderowałem.
A potem, wszak ja przecie osoba kościelna,
Radzić wojnę a bić się, to jest rzecz oddzielna.
My, kiedy tego trzeba, wojnę zapalamy,
Ale się sami na sztych nie sztawiamy.

**Jonek.**

Daj go Bogu! to jakieś wygodne ustawy.

**Bartłomiej.**

Był to cud razem strasny, i cud do zabawy.

**Bardos.**

Bracia moi, słuchajcie! świat ten jest zepsuty,
Są na nim tak bezczelne i podłe filuty,
Którzy, widząc, żeście są prostacy po trosze,
Zmyślonemi cudami ściągają wam grosze.
Byście więc nie sądzili że ja takim byłem,
Powiem wam, że ten figiel którego użyłem
Nie jest to cud prawdziwy, nie djabelska sztuka,
Lecz jest to, jedna piękna, rozumna nauka,
Ta robi w człeku skutki któreście widzieli,
Alebyście wy tego za rok nie pojęli.
Wiedźcie tylko, że ten drut, przez drogę ciągniony,
Tak jest pewnym a silnym ogniem napełniony,
Że, kto się go, czy ręką, czy nogą dotyka,
Całego. jakby piorun natychmiast przenika.
Ażebyście wierzyli że ja was nie durzę,
Zaraz was doskonale i jasno przekonam.

**Jonek.**

Ej, prosiemy Wasmości.

**Wawrzeniec.**

Prosiem, pokas to nam.

**Wszyscy.**

Prosiemy!

**Bardos.**

Zaraz Stachu, idź tam, stań na górze,
I obracaj tą korbą.

*(Stach idzie.)*

A wy dzieci moje
Pobieżcie się do koła, a wszyscy za ręce.

**Basia.**

Ej, kiej strasno.

**Jonek.**

Nie bój się.

**Miechodmuch** *(śmiejąc się.)*

O szercze zajęcze!

**Bardos.**

Pan Miechodmuch niech pierwszy stanie.

**Miechodmuch.**

Kiej się boję.

**Basia.**

A ze mnie się WPan śmiał?

**Bardos.**

Wstydź się, stań jeno tu,
Tę rękę podaj Basi, tą dotknij się drutu.

*(Gdy się dotykają drutu, krzyczą wszyscy.)*

Aj! aj!

**Bardos.**

Otóż i po wszystkiemu, niechaj wam to służy
Na zdrowie, to czyści krew.

**Jonek.**

Oj, co to za dziwy!

**Bryndus.**

Człek o tem ani myślał.

**Morgal.**

Toć, jak cud prawdziwy.

**Bardos.**

A jednak, nie jest cudem, ale czas się dłuży,
Powróćcie wszyscy razem w radości do domu,
A gdy was zwodzić zechcą, nie wierzcie nikomu.
Wy bierzcie bydło wasze, wy złączcie się z niemi,
Razem dzisiaj wieczerzać i tańczyć będziemy.

**Górale.**

Zgoda!

**Wawrzeniec.**

Mądryćto człek z Waspana.

**Bardos.**

Gdy tak rozumiecie,
To tę małą naukę odemnie przyjmiecie;
Niech ona silniej, niźli ogień w tej iskierce,
Dotknie umysły wasze i rozpali serce.

**ŚPIEWKA.**

Żyjcie w zgodzie, w pokoju,
Nie dajcie się gorszyć światu,
Nie ma zysku w takim boju,
Który czyni krzywdę bratu.
Bóg nas wszystkich równo stwarza,
Równo nam się kochać każe,
Tego zawsze upokarza,
Kto bliźniego krwią się maże.

*(Wszyscy powtarzają i odchodzą.)*

---

## SPRAWA V.

**Bardos i Stach.**

**Bardos.**

Stachu, zostań się ze mną; radbym twe małżeństwo
Szczęśliwem już oglądać, lecz niebezpieczeństwo
Wisi jeszcze nad tobą. Dorota cię kocha,
A kiedy się z tem wyda jak kobieta płocha,
To twoja żona, słusznie zazdrosna i czuła,
Całeby ci pożycie zgryzotą zatruła.
Słuchaj: trzeba ją prędko i zręcznie odsadzić.

**Stach.**

Ale jak!

**Bardos.**

Gdzież cię ona najczęściej widuje!

**Stach.**

Ona mnie wsędzie suka, wsędy mnie śpieguje.

**Bardos.**

Ale musisz ją w takie miejsce gdzie sprowadzić,
Żeby się tam skryć można, gdy będzie potrzeba.

**Stach.**

A jakby mnie mąs złapał, dałzebym se chleba.

**Bardos.**

Próżną trwoga, nie bój się, ale gdzież to zrobić?

**Stach.**

Ona cęsto pod domem długo ze mną gada.
To się za węgieł schowam.

(Ciąg dalszy nastąpi).